Cena 18 fen. = 13 cent.

Nr. 17. Rok X.

ŚWIATŁO

Pismo ilustrowane dla rodzin polskich.



Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „KATOLIKA" Bytom

ŚWIATŁO

Rok X. Bytom G.-Ś., 1-go Września 1896. Nr. 17.

„ŚWIATŁO" wychodzi dwa razy na miesiąc, co 1-go i 15-go każdego miesiąca. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 cent. Zeszyt pojedyńczy kosztuje 18 fen. = 13 centów. — Abonować można na każdej poczcie, (Zeitungs-Preisliste t 99) w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika" w Bytomiu na Górnym Śląsku (Beuthen O.-S.) — **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 20 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

NIEGODNY.

(Ciąg dalszy.)

XII.

Przyrzeczenie.

Może w pół godziny po odejściu Beaty z pokoju dziadka, wszedł do niego Franciszek. Twarz młodzieńca była zarumieniona od szybkiej jazdy i okazywała silne wzruszenie.

— Daruj kochany ojcze! — przemówił po krótkiem powitaniu, — że ci się znowu naprzykrzam, ale zastałem w kantorze listy z Hamburga wzywające mnie tak nagląco, że musiałem wyprawić rządzcę do stacyi, a sam wróciłem dla zabrania rzeczy. Nie gniewaj się na mnie, ale po tem, cośmy ci dziś oboje z Paulą oświadczyli, będzie daleko lepiej, jeżeli zupełnie przeniosę się do Hamburga.

Tu Franciszek umilkł na chwilę, ażeby się przypatrzeć twarzy ojczyma, który nie odpowiedziawszy prawie na jego powitanie, słuchał w posępnem milczeniu. Wyraz bladej, zmęczonej twarzy był wielce różnym od gniewnego uniesienia, w jakiem chorego przed kilku godzinami Franciszek zostawił. Młodzieniec przystąpił bliżej i odezwał się przekonywającym tonem:

— Drogi mój ojcze, nie gniewaj się na nas! Wiesz przecie z jaką gotowością spełniamy każdy twój rozkaz, jakkolwiek…

— Jakkolwiek — dokończył chory z goryczą, — jesteście gotowi spełnić dla mnie wszystko, oprócz tego, czego sobie najbardziej życzę.

— Ależ ojcze! — tłómaczył się Franciszek, — czy podobna, abyś jeszcze obstawał przy swojem życzeniu, po tak szczerem wyznaniu z naszej strony? O! nie, nawet najświętszy obowiązek wdzięczności nie usprawiedliwia kłamstwa przeciwko uczuciu. Boli cię ojcze zawód doznany w tem, co od tak dawna było twoją najulubieńszą myślą, ale i to przykre wrażenie zniknie, skoro mnie tu już nie będzie. Pozwól mi więc jutro ztąd odjechać, pilne interesa w Hamburgu są wystarczającym powodem.

Hohenhofen udał, że nie dosłyszał tego dodatku. Poważnie, lecz bez gniewu, odpowiedział:

— Mówisz, że czas złagodzi przykre wrażenie zawodu, jakiego doznałem z waszej strony. A czyliż na was nie może on podobnież wywrzeć swojego wpływu? Albożi wasze przekonanie nie zmieni się nigdy? Postąpiłem niesłusznie nakłaniając was do małżeństwa, mogę wam teraz pozostawić czas do namysłu.

Chmura niezadowolenia powlokła twarz Franciszka.

— W obecnych okolicznościach na nic by się to nie przydało, mój ojcze! Ja i Paula nigdy nie pobierzemy się z sobą.

— I to już wasze ostateczne, nieodwołalne postanowienie?

— Nieodwołalne! — powtórzył Franciszek stanowczo.

Teraz chory, dźwigniony jakąś cudowną siłą, wyprostował się na fotelu i zawołał z energią:

— A więc dobrze, gotów jestem poświęcić mój ulubiony zamiar i spełnić wasze życzenia. Córka mojej Maryi, młodziuchna Beata de Silvo, zajmie miejsce swojej matki w moim domu!

Franciszek spoglądał jak skamieniały na ojczyma, w którego ustach po raz pierwszy usłyszał wyraz, będący dotąd w takiej ohydzie u niego; po chwili dopiero uczuł radość w sercu.

— Ach ojcze najdroższy! — zawołał z zapałem — jakże ci mam podziękować za to postanowienie. Zaraz napiszę do Martella, ażeby podwoił swoje poszukiwania w Brazylii.

— Obejdzie się już bez jego poszukiwań.

— Ależ ojcze!

— Wiem daleko więcej, aniżeli wy oboje, razem z waszym Martellem w dodatku! Moja wnuczka już wkrótce przyjedzie do zamku. — I uśmiechnąwszy się, dodał: — Dla mnie zastąpi ona Paulę, a kto wie, czy i nie dla ciebie? Ma to być śliczne dziewczę, może potrafi zdobyć twoje uparte serce.

— W imię nieba! — zawołał młody człowiek; — proszę cię ojcze, zaniechaj tworzenia nowych projektów, które ci mogą znowu przygotować zawód.

— Dlaczegóż miałbym i teraz doznać zawodu? — zapytał Hohenhofen. — Może twoje serce już uczyniło wybór?

Franciszek bez zmięszania spojrzał w oczy pytającemu.

— Tak jest! — odrzekł z prostotą. — Serce moje już oddałem...

Głowa Hohenhofena opadła na poduszkę. Franciszek mówił dalej:

— Nie miałem wprawdzie zamiaru wspominać ci na teraz o tem, chcąc ażebyś wprzód mógł się oswoić z postanowieniem Pauli, ale ponieważ o to zapytujesz, muszę dać otwartą odpowiedź. Nie mogłem do tego znaleźć stósowniejszej chwili nad tę, w której serce twoje wraca ojcowską miłość wydziedziczonemu dziecięciu; nie odmówisz także twej przychylności synowi, który ci do domu chce wprowadzić drugą córkę...

— I któż to taki, ta twoja wybrana? — zapytał chory.

Franciszek zawahał się przez chwilę, potem przemówił spokojnie:

— Jest to sierota niemająca ani znajomych, ani przyjaciół w naszym kraju. Poznałem ją w czasie mojej ostatniej podróży do Anglii. Przypadek pozwolił mi jej oddać przysługę. Nie wiem jak się to stało, ale od tej chwili pokochałem ją całem sercem. Sam nazywałem szaleństwem to uczucie, usiłowałem o niej zapomnieć, a jednakże moja miłość wzrastała ciągle i nareszcie opanowała mnie z niepokonaną siłą, skoro w towarzyszce Pauli poznałem moją znajomą z okrętu.

Silne wzruszenia, które owego poranku tak niespodzianie następowały jedno za drugiem, musiały starca w końcu wyczerpać; prawie omdlewając, pochwycił kurczowo poręcz fotelu. Żelazna jego wola pozwoliła mu jednak zdobyć się znowu na siłę i odpowiedzieć dość wyraźnie:

— Ha! mój Franciszku, jeżeli przekładasz jakąś tam obcą, nieznajomą sierotę nad moję wnuczkę, to już nie moja sprawa! Możesz robić, co ci się tylko podoba. Mnie teraz córka Maryi za-

stąpi was oboje i otrzyma wszelkie prawa, jakie się należały jej matce.

— Przyjmując na takich warunkach do siebie twoję wnuczkę, spełnisz tylko ojcze moje najgorętsze życzenia. Z największą chęcią wyrzekam się twego majątku, ale jestem ci winien tyle wdzięczności, że za nic w świecie nie mogę wyrzec się twego ojcowskiego przywiązania. Do niego to więc odwołuję się w tej chwili, błagając o pobłogosławienie narzeczonej, którą wybrałem!

— I nigdy nie będziesz się napróżno odwoływał do moich uczuć, mój szlachetny, dobry Franciszku!

W ciągu tej rozmowy, jakaś dziewicza postać stała ukryta w ciężkich fałdach zasłony, dzielącej przedpokój od sypialni chorego. Nikt nie spostrzegł jej obecności.

Dziewica zadrżała, kiedy Franciszek z taką bezinteresownością wyrzekając się bogatej dziedziczki, przekładał nad nią ubogą, nieznajomą sierotę, przybyłą z za morza dla szukania chleba między cudzoziemcami. Im szlachetniej i piękniej objawiały się jego uczucia, tem sroższa burza miotała sercem Edyty; nareszcie już nie mogła wytrzymać dojmującego bólu, i jak zraniona na oślep uciekła.

Franciszek, uszczęśliwiony postanowieniem starego Hohenhofena, opuścił właśnie jego pokój. Zdaleka spostrzegł jasną sukienkę Edyty, która mu znikła z oczu w głębi salonów.

Nie domyślał on się bynajmniej, że tak blizko niego przed chwilą się znajdowała, ani że teraz uciekała przed nim. Pozostając jeszcze pod wpływem owego radosnego uczucia, jakie w nim zrodziło otrzymanie moralnego zwycięztwa, bez wahania pobiegł za nią. Edyta nie spodziewała się, że Franciszek tak prędko opuści pokój ojczyma i utraciwszy zupełnie moc nad sobą, zatrzymała się na środku salonu, blada i odrętwiała. Na widok wchodzącego opamiętała się nieco, ale nie mogła zdobyć się na tyle przytomności, ażeby przemówić obojętnie.

Spostrzegł jej bladość i wzruszenie, a wilgotny blask oczów tej, która teraz była prawdziwem słońcem jego życia, boleśnie go dotknął. Zapominając o wszelkich słowach zbytecznych, z całą otwartością oświadczył jej swoją gorącą miłość. Wyznanie jego, nacechowane głęboką prawdą, dziwnym dźwiękiem obijało się o wyzłacane ściany zimnego salonu.

— Obowiązki zmuszają mię do oddalenia się ztąd Edyto! Jutro już muszę opuścić Hohenhofen, ale przed odjazdem chciałem się upewnić o tem, co stanowi najmilszą nadzieję mojego życia. O! powiedz mi najdroższa, że nie pogardzisz moją miłością, że zostaniesz moją ukochaną małżonką.

Zwolna podniosła oczy i spojrzała zupełnie tak samo jak wówczas, gdy jego ramiona ocaliły ją od wpadnięcia w morze. O! gdyby była naówczas poszła za popędem uczucia, byłaby wyciągnęła do niego ręce, wołając:

— O! ratuj mnie i ocal przed samą sobą! — Ale zbawienna myśl szybko uleciała, a jej drżące usta wymówiły tylko te słowa:

— Nie powinienbyś odzywać się do mnie w ten sposób Franciszku! bo ja cię kocham, jak nikt cię więcej kochać nie może na ziemi. Ale to jest wszystko, co ci może ofiarować biedna sierota bez domu i bez ojczyzny. Edyta Frinksly nie jest stósowną żoną dla ciebie, milionowego pana. Towarzyszką twojego życia powinna być równie bogata kobieta; idź więc i bądź z nią szczęśliwym, a mnie pozwól iść dalej samotnie, ciernistą ścieżką sierocego życia!

To powiedziawszy chciała odejść, ale Franciszek zatrzymał ją na miejscu.

— Co też ty prawisz, nierozważna dziecino? — rzekł wzruszonym głosem, — alboż ja wymagam czegokolwiek więcej oprócz skarbu twej miłości? O nią błagam cię tylko, pozwól abym ci zgotował ojczyznę i domowe ognisko. O! powiedz, powiedz nareszcie, że nie pogardzasz ofiarą mego serca!

Ale Edyta nie śmiała podnieść oczu.

— O! nie kuś mnie dłużej, Franciszku, — mówiła błagalnie; — bo raz wstąpiwszy w czarodziejskie koło podo-

bnego szczęścia, nie potrafiłabym już wyżyć bez niego i zginęłabym marnie, gdybyś mnie kiedykolwiek chciał z niego usunąć.

— Ależ najdroższa! Zkądże podobne myśli?

— A więc przyrzekasz, że mnie zawsze będziesz kochał, nawet i wówczas, gdybyś mnie uznał za niegodną siebie?

We wszystkich jej wyrazach było tak coś niezrozumiałego, że Franciszek spojrzał jej w oczy z prawdziwem zdumieniem; ale ona nie uważając na to, dodała:

— Chcę przez to powiedzieć, jeżelibyś się miał kiedyś przekonać, że nie byłam tą, za którą mnie wziąłeś, że nie posiadałam tych wszystkich cnót i przymiotów, jakie mi dziś przypisuje twoja miłość.

Wyraz bolesnej obawy, malujący się na pięknej twarzy dziewczyny, niezmiernie był przykrym Franciszkowi. Tuląc ją do siebie, zawołał z serdecznem spółczuciem:

— Jeżeli o to tylko obawiasz się najdroższa, to możesz być spokojną! Nie ulega wątpliwości, że kiedyś oboje możemy się przekonać, iż nie jesteśmy aniołami, że mamy swoje błędy, które wzajemnie nosić, albo poprawić możemy. Ale zresztą od czegóż miłość, która wszystko czyni lekkiem i rozkosznem? Porzuć więc troski o przyszłość i zostań moją na zawsze.

Edyta zapytała jeszcze:

— A miłość twoja raz wyrzekłszy na mnie potępiający wyrok, nigdy nie odwróci się odemnie?

— Nigdy! nigdy!

— A więc jestem twoją! Przyjmij mnie jaką jestem, ja ci za to będę wdzięczną, nie przestając cię kochać i uwielbiać do ostatniego tchnienia!

XIII.

Przy łożu chorej.

Pogodne słońce jesienne wesoło oświecało mury zamku Hohenhofenów, ale wewnątrz niego panował teraz niepokój i smutek. Cudzoziemka, która przybyła do niego przed kilkoma tygodniami i tak prędko zdobyła sobie wszystkie serca, leżała dotknięta ciężką chorobą, walcząc z gwałtowną gorączką, grożącą jej życiu. Wstrząsające wrażenia przebyte w ciągu dni ostatnich, w połączeniu z bezustanną walką wewnętrzną, jaką przez wiele tygodni toczyła sama z sobą, wyczerpały nakoniec wątłe jej siły. Jeszcze owego dnia, kiedy Franciszek, upewniwszy się o wzajemności, przedstawił ją wieczorem Pauli jako swoję narzeczoną, upadła bez zmysłów, pod wpływem nagłego osłabienia. Zaniesiono ją do łóżka, w nadziei, że sen i odpoczynek będą dostatecznem lekarstwem, ale na nieszczęście omylono się. W parę godzin później, ta piękna, młoda dziewczyna leżała już w napadzie najcięższej gorączki. Oczy jej błyszczały bezprzytomnie, z ust dobywały się poplątane, niezrozumiałe wyrazy, a ruchy jej były gwałtowne. Przywołany doktor wątpliwie poruszył głową, zalecając jak największą troskliwość.

Zastósowano natychmiast lodowe okłady, odmienne co parę minut, a Paula zapominając o własnem cierpieniu, zasiadła natychmiast przy łóżku chorej. Całe jej szczere przywiązanie, jakie od lat dziecięcych czuła dla Franciszka, objawiło się w tej pieczołowitości, jaką rozciągnęła nad swoją nową siostrą. Ale ani ona, ani stara Małgorzata nie rozumiały cudzoziemskiego języka, którego wyrazy brzmiały bezustannie w ustach chorej. Wymawiała je ona po części gwałtownie, to znowu z tak przejmującą boleścią, że dźwiękiem swego głosu rozdzierała serca czuwających nad nią.

Najwięcej cierpiał Franciszek. Miałże po to tylko odzyskać swój klejnot, ażeby go na zawsze utracić? Posępny siedział w pokoju ojczyma, opowiadającego mu z najmniejszymi szczegółami scenę, która zgubnie musiała wpłynąć na biedną sierotę.

Choroba tej ostatniej tak ciężko dotknęła nieszczęśliwego starca, iż trudno było powiedzieć, które z nich bardziej cierpiało. Hohenhofen dręczony wyrzutami sumienia, spoglądając na dowody

piśmienne, które Fryderyk znalazł w pokoju Edyty, dzień i noc zapytywał sam siebie, czy Opatrzność właśnie nie po to tylko sprowadziła pod jego dach opuszczoną córkę Maryi, aby jej śmiercią ukarać jego dumę?

Jedna tylko Paula nie traciła odwagi i zaufania w miłosierdzie Boga. Nie uważając na własne niebezpieczeństwo, przy pomocy sprowadzonej do zamku siostry miłosierdzia otaczała dzień i noc Edytę najstaranniejszą opieką. W ten sposób doczekano się dziewiątego dnia choroby, którego się sam lekarz najbardziej obawiał. Nareszcie nadszedł wieczór i siła gorączki zdawała się złamaną; zamiast wzmagać się, zwolniała znacznie — życie chorej można było uważać za ocalone.

Westchnienie błogiej nadziei uniosło piersi otaczających; wyraz radości malował się na twarzach wszystkich mieszkańców zamku, gdyż jakkolwiek nie wszyscy jeszcze wiedzieli, kim była Edyta, jednakże posiadała ona ogólną życzliwość, która się wzmogła jeszcze tą wiadomością, iż miała zostać żoną ukochanego panicza. Cichy, lecz głęboki smutek, malujący się na twarzy Franciszka, świadczył najlepiej czem była dla niego ta, której życie pozostawało w niebezpieczeństwie. Były to dla niego dnie najcięższej próby, pokochał bowiem Edytę całą siłą młodzieńczego serca. Wyznanie ojczyma przygnębiło go do tego stopnia, iż żałował prawie, że jego wybrana nie była sierotą, ubogą miss Frinksly. Równocześnie choroba Edyty budziła w jego sercu nieograniczone współczucie. Wyobrażał sobie, wiele to musiała wycierpieć ta młoda, niedoświadczona istota, nim nareszcie dojść zdołała do upragnionego celu; jak ciężką musiała być dla niej owa moralna walka, zakończona chorobą i wycieńczeniem. Teraz dopiero mógł sobie wytłómaczyć obawę, z jaką go zapytywała, czy nie przestanie jej kochać, skoro się dowie, że nie była ta, za którą ją uważał?

Ale dlaczegóż wówczas nie wyznała przed nim wszystkiego? prawdopodobnie już wtedy tkwiący w niej zaród choroby musiał osłabić jej siły moralne. W każdym razie nikt nie mógłby się okazać zbyt surowym sędzią dla tak młodej dziewczyny, a Franciszek mniej niż ktokolwiek w świecie, zwłaszcza, kiedy po długich dniach śmiertelnej obawy, wszedł po raz pierwszy do pokoju narzeczonej i spojrzał na jej wychudłą twarzyczkę. Jej ciemne oczy, ożywione jeszcze blaskiem gorączki, skierowały się badawczo ku niemu. Pobladłe usteczka chorej wyszeptały ten jedyny wyraz:

— Przebaczenia!

Ta prośba dziecięca wzruszyła do głębi młodziana, który pochwyciwszy maleńką rączkę Edyty, ucałował ją z uniesieniem.

— Zapomnij o przeszłości, najdroższa! odtąd już ani na chwilę nie przestaniemy czuwać nad tobą.

Rozpalone paluszki chorej z dziwną namiętnością uścisnęły dłoń Franciszka.

— O! tak, nie przestańcie mię kochać! — przemówiła ledwo dosłyszanym głosem.

Słowom jej towarzyszył jednak wyraz takiego rozrzewnienia, że przerażona Paula dała znak Franciszkowi, ażeby był ostrożniejszym, gdyż należało oszczędzać tę wątłą istotę, z taką trudnością wyrwaną śmierci. Myśl ta już i bez tego nasunęła mu się, to też po wyrzeczeniu kilku słów uspokajających, opuścił narzeczoną. Chora była tak osłabioną, że chętnie poddawała się wszystkiemu; oczy jej zamknęły się mimowolnie i wkrótce usnęła.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Ormianie i kościół ormiański.

(Ciąg dalszy.)

Najbardziej na prawdę zasługujące dokumenta, dotyczące się chrześciaństwa w Armenii, sięgają, podług mniemania dawnych i nowszych krytyków, IV wieku po Chrystusie, rozkrzewienie zaś światła Ewangelii przypisywane bywa ogólnie św. Grzegorzowi, przezwanemu Iluminatorem czyli Oświecającym, który umarł w roku 331 po Chrystusie. Zdaje mi się jednak, iż powyższe mniemanie wyrządza pewną ujmę czcigodnemu ormiańskiemu Kościołowi, którego dawna tradycya zgodnie z tradycyą powszechnego Kościoła głosi, iż święci Apostołowie Tadeusz i Bartłomiej zanieśli do Armenii pierwsze promienie Chrystusowej wiary i nauki. Świadczą o tem także obrazki i na prawdzie oparta historya ormiańskiego Kościoła. Wprawdzie apostolskiego jego pochodzenia niepodobna dowieść na podstawie ówczesnych dokumentów, ale już same sprawowanie obrządków, sięgające z pewnością dawniejszej epoki, niż połowa V wieku, jest wymownym tego dowodem, zawiera bowiem następujący ustęp:

»W ofierze Mszy św. należy przypominać zawsze pierwszych naszych Biskupów Tadeusza i Bartłomieja, Apostołów i Grzegorza, przezwanego Oświecającym, oni to bowiem do Armenii przynieśli światło wiary.«

Nie ulega wątpliwości, że już w pierwszym wieku naszej ery wprowadzono chrześciaństwo do Galicyi, Tarsu i wschodniej Kappadocyi, które później były znane pod nazwą Małej Armenii. Nasuwa się jednak pytanie, dlaczego pierwsze zabytki chrześciaństwa, napotykane w tym kraju, pochodzą dopiero z czasów św. Grzegorza, a nie z czasów śś. Tadeusza i Bartłomieja Apostołów, którzy tam Chrystusową rozkrzewiali wiarę? Oto św. Grzegorz sam także z początku był poganinem i dopiero biskup Leoncyusz z Cezarei w Kapadocyi nawrócił go i wyświęcił na biskupa, za powrotem zaś do Wielkiej Armenii św. Grzegórz znalazł jej mieszkańców pogrążonych po dawnemu w ciemnościach poganizmu.

Najkrótszem i najłatwiejszem rozstrzygnięciem tej kwestyi jest wniosek, że dawny Kościół ormiański, założony przez dwóch Apostołów, skutkiem rozmaitych okoliczności odpadł znowu do poganizmu na długi czas przed przybyciem św. Grzegorza.

Bądź cobądź niejednokrotnie słyszeliśmy o męczennikach z Małej Armenii, którzy z pewnością nie przez św. Grzegorza nawróceni zostali. Weźmy naprzykład 40 męczenników, którzy podczas prześladowania chrześcian za panowania Dyoklecyana ponieśli śmierć męczeńską, jako również biskupa Błażeja, umęczonego wraz z wielu innymi chrześcianami przez Agrykolę, wielkorządzcę Armenii.

Święty Grzegórz Iluminator po przybyciu do Armenii, dokonał wielu nawróceń, lecz wkrótce potem został uwięziony i męczony przez Tiripata III, dziesiątego armeńskiego króla.

Pewien historyk nam opowiada, że za okrucieństwo i prześladowanie wyznawców Chrystusa dosięgła niebawem barbarzyńskiego tego władzcę karząca ręka Opatrzności, gdyż został on opętany przez szatana, który okropne sprawiał mu katusze.

Pewnej nocy ukazało mu się niebiańskie jakieś zjawisko, pod wpływem którego król zmienił nagle swe usposobienie, postanowił się nawrócić, dzięki zaś modlitwom św. Grzegorza odzyskał zdrowie. Zostawszy sam chrześcianinem, król ten wydał orędzie, ażeby podwładni poszli za jego przykładem, to jest przyjęli religię chrześciańską. Teraz otwarło się dla Grzegorza szerokie pole apostolskiej pracy.. Był on prawdziwym Noem ormiańskiego Kościoła, gdyż ocalił go szczęśliwie od powodzi poganizmu.

Jeden z późniejszych pisarzy, Nicefor, opowiada, że Tiridat III złożył wraz z Grzegorżem wizytę Cesarzowi Konstantynowi, który ich przyjął bardzo serdecznie. Następnie czytamy w historyi, że św. Grzegórz odwiedzał także św. Sylwestra Papieża, oraz że ten ostatni potwierdził jego wybór na pierwszego ormiańskiego biskupa. Należy zaznaczyć, iż synod odbyty w Wagharszabacie w roku 366, uznał armeńskiego metropolitę za niezależnego od biskupa Cezarei, dodając, iż musi on być mianowany i wyświęcony przez ormiańskiego biskupa.

Częstokroć świat cały spogląda ze zdumieniem na wielkie dzieła, dokonane przez jednostki i nasz więc Święty, który na prawdziwą wiarę nawrócił cały naród ormiański, należy również do tych wielkich ludzi. Brał on także udział w soborze Nicejskim, podczas którego Kościół w jego ojczyznie został ostatecznie założony i zorganizowany. Po zgonie jego, naturalnym następcą tego pierwszego ormiańskiego króla katolika był syn, poczem dziedziczność ta trwała nieprzerwanie przez czas długi.

Zasługuje na uwagę, że około roku 371 cezarejski metropolita św. Bazyli Wielki zwiedził całą Małą Armenię, ostrzegając swe owieczki, ażeby się nie przyłączały do wyznawców aryańskiej herezyi, która wpośród nich wielu, niestety, znalazła zwolenników.

Czcigodny Kościół ormiański brał czynny udział w rozmaitych herezyach, dotyczących Chrystusowej nauki, co świadczy o opłakanym stanie ówczesnego katolicyzmu.

Przedsiębiorczy i inteligentny naród ormiański wysyłał zdolnych młodzieńców, Mezropa, Sahaka i wielu innych na naukę do Aten, ażeby się zaznajomili z językiem greckim i zachodnią cywilizacyą. Za powrotem do Armenii, młodzież ta przyniosła wieść o herezyi nestoryańskiej, tudzież o przepisach Efezkiego soboru, które synod ormiański, zwołany w Asztyszacie, przyjął w r. 432.

Złoty wiek ormiańskiego Kościoła trwał zaledwie przez parę stuleci, to jest IV i V. Był to okres nader ważny dla nauki i piśmiennictwa. W tym czasie Mezrop i Sahak Wielki, przełożyli biblię na język ormiański, pisząc ją nowemi literami, wynalezionemi przez Mezropa. Dalej zaznaczyć należy, że Kościół ormiański, zwłaszcza za panowania perskiej dynastyi Chosroesów, może się pochlubić nader licznem gronem męczenników.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Jak będzie wyglądać na świecie za 100 lat?

(Dokończenie.)

Prawidła łączności ludów na polu społecznem i ekonomicznem rozwiną się do niesłychanych rozmiarów. Dziś każdy jeszcze żyje dla siebie, pracuje i buduje dla siebie, urządza się, jak jemu jest najwygodniej. W przyszłości budowane będą zupełnie równe budynki, mające 25—30 piętr wysokości. Będą w nich i naokoło nich wszelkie urządzenia, zabezpieczające życie i zdrowie ludzkie. Na dachach domów, mających formę terasy, znajdować się będą najpyszniejsze ogrody z altanami i wodotryskami. Wzdłuż tych ogrodów będą drogi, którymi ludzie będą sobię nawzajem składali wizyty. Po nad tem wszystkiem unosić się będzie szklanny dach, który rozciągać się będzie i nad ulicami, służącemi do komunikacyi publicznej i chronić je będzie od deszczu i śniegu. Będą zapewne miasta, zakryte zupełnie szklannymi dachami, zaopatrzonymi pozłacanemi wieżami z miedzi, które gromadzić będą elektryczność do olbrzymiego akumulatora (zbiornika) o sile 100 tysięcy koni. Ów akumulator zaopatrywać będzie całe miasto w światło i ciepło. Ludzie więc przyjdą

powoli do przekonania, że korzystniej żyć nie dla siebie, ale dla całości, dla ogółu, bo wtedy nie tylko oni, ale wszyscy na tem zyskają. Wszyscy wspólnie zadowoleni będą z życia. Czy zaś to wszystko może być możliwem? Nie ma obecnie prawie nic niepodobnego. Nam się może zdawać, że powyższe pomysły to tylko mrzonki, które powstały w mózgach kilku marzycieli, nie mających nic lepszego do czynienia. Ale uderzmy się w piersi i stawmy sobie pytanie: czyż człowiek nie jest owym niewiernym Tomaszem, który wtedy tylko wierzy, gdy coś naocznie widzi?

Przykłady upłynionych dziesiątek i setek lat stwierdzają to najlepiej. Przed stu laty drwili sobie ludzie z kolei. Czyż to podobnem, ażeby taki potwór można kiedykolwiek w jakikolwiek sposób użyć? Szczególnie awanturniczy, waryacki pomysł. Szkodzić może jedynie roślinności. Należałoby koleje ogrodzić płotami drewnianymi. Tak oto przodkowie nasi przed niespełna stu laty potępiali koleje. Podobnie miała się rzecz z okrętami. Przed pięćdziesięciu laty mówiono: można takowe użyć chyba na rzekach i jeziorach, ale nie na morzu. Nigdy nie przyjdzie do tego, ażeby okręty mogły kursować pomiędzy Europą a Ameryką. Dziś chyba każdy pokiwa głową nad tem, jak można było wtedy coś podobnego twierdzić.

Zupełny przewrót nastąpi także w codziennem życiu w zakresie domowym. Nie będzie żadnych kuchni prywatnych. W roku 2000 nikt nie będzie chciał rozumieć, że przed stu laty w mieście, liczącem, dajmy na to, sto tysięcy mieszkańców, dziesięć tysięcy kucharek w dziesięciu tysiącach kuchniach, codziennie przynajmniej cztery razy zapalało w piecu lub na maszynkach i do tego spotrzebowało 40 tysięcy zapałek. Jak można było tracić tyle miejsca na budowę kuchni, tyle pieniędzy wydawać na sprzęty kuchenne, na kucharki, na



SMUTNY OBRZĘD. (Obacz objaśnienia rycin na str. 272).

piece itd. itd. A czy była korzyść z tego? Nietylko nie było korzyści, ale owszem szkody i niewygody. Cały dom, całe mieszkanie było pełne huku, stuku, dymu, kurzu, pary, niemiłych zapachów, popiołu, wylewów i odpadków także co niemiara. Przytem jedzenie nieraz nie było warte tych zachodów. Jaka to różnica pomiędzy kuchniami wieku dziewiętnastego a wieku dwudziestego. W dwudziestym wieku powstaną kuchnie, które gotować będą dla miasta całego. Nie będzie do nich potrzeba tysięcy kucharek. 200 kucharzy wystarczy zupełnie. Gotować się będzie na elektrycznych maszynkach. Jedzenie będzie wyśmienite, szybko sporządzone a przedewszystkiem tanie. Nic to nadzwyczajnego. Zważmy tylko, że na okrętach sporządza kilku kucharzy jedzenie dla kilkuset członków załogi. W nowym budynku parlamentarnym bardzo mała ilość kucharzy zdolna sporządzić w 2 kotłach jedzenie, odpowiednie na wielką uroczystość dla 3000 uczestników na 5 m. długim piecu, bez dymu i sadzy. W prywatnem życiu pracuje nad przyrządzeniem tej samej ilości jedzenia z pewnością około 300 kucharek w trzystu kuchniach na trzystu piecach. Koszta w tym razie muszą być co najmniej raz jeszcze tak wysokiemi jak przy wspólnej kuchni.

Może zaciekawimy szanowne nasze czytelniczki, gdy im w krótkich słowach przedstawimy przyszłe gospodarstwo domowe. O 7 godzinie rano ukazuje się na ścianie w pięknej ramce jadłospis, zawierający około 50 rozmaitych gatunków potraw, z których porcya kosztować będzie 20 fen. Przy każdym napisie znajdować się będzie guzik elektryczny, na który nacisnąwszy, gosposia natychmiast otrzymuje żądaną potrawę. W południe idzie małżeństwo na obiad. W wielkiej hali stoi eleganckie pudło, spuszczające potrawy. Naciśnie się na dzwonek elektryczny i po krótkiej chwili wszystko się

ukazuje. Po jedzeniu wstawia się naczynia do pudła, które tajemniczo znika. Czyż to nie wspaniałe a tak pojedyńcze? Żoneczka będzie zawsze wiedziała już naprzód, ile musi wyłożyć na zaspokojenie żołądka, mężulek nigdy się nie będzie skarżył na liche jadło, mieszkanie będzie zawsze w należytym porządku i nie będzie wcale potrzeba utrzymywać kucharek.

Kobietki poczną jednak wyrzekać: »Cóż my z czasem poczniemy.« O to nie warto mieć kłopotu. Toć nasze babki także kiedyś mawiały, że życie ich byłoby nieużytecznem, gdyby sobie same nie szyły bielizny, raz lub dwa razy do tygodnia nie piekły chleba i nie urządzały wielkiego prania i prasowania. O praniu i prasowaniu nie będzie w przyszłości wogóle mowy, choćby już tylko ze względu na bieliznę papierową, coraz to więcej udoskonalaną. Żelaza do prasowania skupywać będą w przyszłości chyba lubownicy starożytności. Figurować będą one będą także po wystawach dla obudzenia ciekawości potomków naszych.

Niejeden czytelnik potrząsać będzie głową, gdy to przeczyta. Nikt się temu nie powinien dziwić. Toć dziadowie nasi też nad niejednem kiwali głowami, co dzisiaj my za konieczność i za rzecz dobrą uznajemy. Uznaliby tego za pozbawionego zmysłów, ktoby im był powiedział, że w ciągu niespełna dnia otrzymają list, dajmy na to z Bytomia do Poznania, że opłata tego listu kosztować będzie tylko 10 fen., że ludzie będą się mogli także porozumiewać za pomocą 5 fenygowych kart pocztowych, że za 20 fen. będą mogły listy wędrować nieoledwie po całym świecie, że ludzie będą mogli codziennie z poczty pobierać gazety 3 razy dziennie, że ulice będą wieczorem jaśniały pod wpływem elektrycznego światła jak w jasny dzień itd.

Zresztą wierzmy albo nie wierzmy, my tych czasów złotych i tak się po największej części nie doczekamy.

Z Bogiem — i z ludem!

(Pieśń górnoślązkich wiarusów.)

Boga kochamy — i kraj kochamy,
W którym od wieków żyli przodkowie;
Polskim narodem się nazywamy
Wszędzie, gdzie gwarzym w polskiej swej mowie.

Kraj nasz — to Polska, Ojczyzna sławna —
Od Węgier — wzdłuż — po morze Bałtyckie,
I — wszerz — jej przestrzeń olbrzymia zdawna —
Z odległej Rusi w strony łużyckie.

Polska ta nasza potężną była,
Głośna po całym świecie jej chwała;
Zdrada sąsiedzka ją poniżyła,
Wrogom potrójnym w ręce wydała.

Lecz prawo Boże za nami stoi,
Więc — choć gwałt wrogów srodze uciska —
O przyszłość naród nasz się nie boi,
Wie, że szczęśliwość jego dziś bliska.

Prawa Bożego moc niewzruszona,
Zwalczy szatany na nas spiknięte;
Naszej polskości nikt nie pokona,
Ludu zastępy w niej nieugięte.

Piast—Mieszko pierwszy — gród Wrocław stworzył,
W nim świętą wiarą Śląska lud darzył;
Biskupstwo Chrobry zaś tam założył
I po królewsku istnie sposażył.

W Śląsku — lud polski — to dobrze czujem,
Zkąd ma stolicę biskup, dzielnica;
Myśli i serca tam też kierujem,
K' spólnej macierzy kłonim swe lica.

Tak, wierni Stwórcy i narodowi,
Zaprzaństwa nie skalamy się brudem;
Żadnemu nie zwieść nas nicponiowi,
Bo idziem godnie: z Bogiem — i z ludem!

Piast.

Dzieciobójstwo w Chinach.

(Ciąg dalszy.)

Za panowania Tong-Czis'a, poprzednika teraźniejszego cesarza, wyszło w Hon-Czeu-Fu, w prowincyi Cze-Kuung dzieło pod tytułem: Kiai-ni-niu-tu-szuo, czyli opowiadania o topieniu dziewcząt, ozdobione ilustracyami. Na pierwszej karcie tej księgi czytamy: »Zwyczaj topienia dziewcząt napotyka się wszędzie, a zwłaszcza w rodzinach, należących do najuboższej warstwy ludności. Wielu czcigodnych i uczonych mężów pisało już całe tomy, w których starali się odwieść lud cały od barbarzyńskiego tego zwyczaju, malując jaskrawemi barwami całą jego okropność. Po przeczytaniu wielu ksiąg pełnych głębokiej mądrości, doszedłem do przekonania, że istnieją dwa tylko środki wykorzenienia tego okrucieństwa. Pierwszym jest wydanie surowych praw przeciw dzieciobójcom, drugim zaś zaradzenie złemu za pomocą jałmużn rozdawanych ubogim rodzicom, którzy nie mając czem wyżywić swych dzieci, starają się ich pozbyć w tak nieludzki sposób.« Po uśmierzeniu powstania Taipingów, wyszło w Su-Czeu dzieło pod tytułem Kiang-nan-tielei-tu-siu-pien, którego autor malując smutne następstwa wojny domowej, dodaje między innemi, że w każdej wiosce istnieje zwyczaj topienia dziewcząt, i że wielu ludzi nie wyklucza nawet chłopców od tego morderstwa.

W innej znowu książce Te-i-lu-paogny-hoei-koei-tiao, wydanej w r. 1889, autor uskarża się wymownie na rozpowszechnienie okropnego tego zwyczaju, szczególniej na prowincyi. »Ludność Czang-Nanu, czytamy tam na str. 18, trzyma się stale zasady wychowywania jednej tylko córki, wszystkie zaś inne zostają utopione.« Wprawdzie w wielu miastach władze rządowe założyły domy dla podrzutków, gdzie rodzice mogą umieszczać dzieci, których sami nie chcą wychowywać, wszelkie jednak usiłowania rządu pozostały bez skutku, ponieważ wszyscy niemal rodzice tłómaczą się ubóstwem, które im nie pozwala ponosić kosztów dalekiej nieraz podróży. Niektórzy nawet mawiają żartobliwie, że topienie dziewcząt jest to tylko pewny odrębny sposób wydania ich za mąż, córki zaś powinny im być wdzięczne za to, ze za pomocą takiego postępowania mogą się znowu odrodzić jako chłopcy. Oto jak Chińczyk zastósowuje w praktyce zasady swej religii.

Jednym z najwybitniejszych i najgorliwszych szermierzy, występujących otwarcie do walki z okropnym narodowym zwyczajem jest uczony Taotsé-Ho-Tong-tse w Szang-Haju. Wydał on w r. 1889 Czeng-ing-pao-eng-lu, to jest »Zbiór opowiadań o nagrodach, jakie się dostaną w udziale osobom, ratującym nowonarodzone dzieci od niezwłocznej śmierci.« Dzieło to zdobią nader liczne i charakterystyczne ilustracye. »Zwyczaj topienia dziewcząt, zaznacza autor, istnieje dotąd wszędzie, ludzie zaś którzy go się trzymają, przewyższa pod względem okrucieństwa najdziksze wilki i tygrysy. Jeżeli zaczniemy przemawiać do rozsądku i sumienia tych rodziców, to z pewnością nas nie rozumieją, najsurowsze zaś napomnienia i groźby żadnego na nich nie zrobią wrażenia. Może więc zdołamy ich odstraszyć od zgubnego tego występku, malując nagrody lub kary, stósownie do tego, czy biedne dziewczęta ratują lub topią.«

Po tej przedmowie następuje cały szereg niesłychanych historyi, po przeczytaniu których włosy powstają na głowie. Należy jednak przyznać, że takie właśnie opowiadania zdolne są wywrzeć największe wrażenie na zabobonne umysły Chińczyków. Tak naprzykład znajdujemy tam historyę pewnego człowieka imieniem Wang-San-Juen, który niezadowolony z przyjścia na świat córek, utopił ich kilka z pomocą teściowej. Po jakimś czasie za karę zamiast upragnionego syna, żona jego powiła olbrzymiego węża, którego

widok przestraszył tak okropnie jedynego siedmioletniego synka, że biedne dziecię natychmiast umarło. Złośliwa teściowa musiała również przypłacić życiem swe okrucieństwo, nieszczęśliwy zaś ojciec przebłagał rozgniewanego domowego bożka, składając mu obietnicę, że w przyszłości będzie dokładał wszelkich usiłowań w celu uratowania od śmierci niemowląt. Opowiadaniu temu towarzyszą ilustracye, odznaczające się jaskrawością barw.

Podobne opowiadania pogan przytacza O. Palâtres z Zakonu Jezuitów w ogromnem swem dziele: L'Infanticide en Chine, ozdobionem rycinami. Widzimy tam naprzykład dzieciobójczynię leżącą na łożu śmiertelnem i otoczoną straszliwemi szatańskiemi postaciami, które trzymają w ręku bicze i łańcuchy, aby związać i wysmagać wyrodną matkę. Inna znowu rycina przedstawia sforę psów o ludzkich głowach, skrępowanych łańcuchem i pędzonych przez jakiegoś potwora. Są to rodzice, których za zamordowanie dzieci tak okropna spotkała kara. Na innej wreszcie przedstawioną została kobieta, której szatani za dzieciobójstwo ucinają język, jak również wyrodni rodzice, rozszarpani przez tygrysy i skazani po śmierci na najokropniejsze katusze. Nie braknie też rycin, przedstawiających nagrodę, jaka czeka tych, którzy stają w obronie niewinnych dziatek. Między innemi widzimy tam uczonego, którego szpetna twarz w nagrodę za filantropijną działalność tak cudownej uległa zmianie, że ucieszony Chińczyk nie może się napatrzeć odbiciu jej w zwierciedle. Inna rycina przedstawia dobrych, cnotliwych rodziców w kosztowne przyodzianych szaty i otoczonych licznem gronem dzieci, które są ich pociechą i chlubą.

Podobne stawanie w obronie dziatwy dzieje się nawet w szkołach, gdzie nauczyciele rozdają uczniom ryciny odpowiedniej treści, aby zawczasu zaszczepić w ich sercach wstręt do dzieciobójstwa.

2) Nietylko jednak w naukowych i popularnych wydawnictwach, przeznaczonych dla niższych warstw społeczeństwa ale także dzieła i pisma wielu wysoko cenionych literatów i uczonych, występują do walki z tak głęboko zakorzenionym występkiem. W samym tylko Szang-Haju wychodzi obecnie około 20 czasopism, poświęconych wyłącznie sprawie dzieciobójstwa.

W r. 1874 dziennik Wei-pao podał cały szereg artykułów w tym kierunku, dzięki którym w rok później zawiązało się stowarzyszenie opieki nad biednemi dziećmi. Niestety wszystkie te usiłowania pozostały zapewne bez skutku, gdyż w roku 1877 dziennik Wan-kuo-kong-pao uskarżał się w następujący sposób: »Zwyczaj topienia dziewcząt na coraz szerszą rozwija się skalę, tak, że ani jedna prowincya cesarstwa nie jest wolną od strasznej klęski. Wykorzenienie więc tak oburzającego występku niesłychane przedstawia trudności.«

Teraz nasuwa się pytanie, jakie stanowisko zajął rząd w tej kwestyi? Czyż niema w Chinach żadnych praw, zabraniających dzieciobójstwa i czy władze rządowe mogą spoglądać obojętnie na lekceważenie wszelkich zasad ludzkości i społecznego porządku? Jeżeli zaś nie, to czemu należy przypisać, że dotąd jeszcze tak barbarzyńskiego zwyczaju wytępić nie zdołano?

Na pierwsze pytanie musimy odpowiedzieć, że już od 200 przeszło lat cesarze chińscy starali się za pomocą niezliczonych ustaw i rozporządzeń położyć tamę dalszemu szerzeniu się tej zbrodni. Poniżej znajdą czytelnicy kilka ustępów z tych rozporządzeń, stanowiących w każdym razie nader ciekawy przyczynek do historyi oświaty i cywilizacyi w Chinach.

Cesarze z dawnych dynastyi zdawali się troszczyć nie wiele o życie nowonarodzonych swych poddanych. Zaledwie jednak Szun-Czy, pierwszy cesarz z dynastyi mandżurskiej (1644—1662) objął rządy Niebieskiego państwa, gdy w drugim miesiącu roku 1659 wydał następujące rozporządzenie:

»Do uszu naszych doszła wiadomość, że pomiędzy wami istnieje zwyczaj to-

pienia nowonarodzonych dziewcząt. Z początku nie chcieliśmy temu wierzyć. Teraz jednak, gdy cenzor nasz Wei-Y-Kiai dostarczył nam bliższych szczegółów tak dzicielskiej, która pomiędzy synami a córkami żadnej nie robi różnicy. Dlaczegóż więc biedne dziewczęta na zagładę mają być skazane? Któż nie



Mały opiekun zwierząt. (Obacz objaśnienia rycin na str. 272).

wstrętnego okrucieństwa, przekonaliśmy się, że smutna ta pogłoska zupełnie z prawdą się zgadza. Sama natura wlała nam w serca uczucie miłości ro- uczuje w swem sercu litości i współczucia na widok dziecięcia nie mającego jeszcze ani sił, ani rozumu, a które niezwłocznie po urodzeniu okropną musi

umrzeć śmiercią? Nie pojmujemy też, jak mogą rodzice przytłumić w sobie tak dalece wszelkie ludzkie uczucia, aby się stać mordercami własnych dzieci. Szang-Ti (Wielki duch) obdarzywszy je życiem pragnie, aby wzrastały szczęśliwie, żadne zaś z jego stworzeń nie ma prawa wyrządzać innemu najmniejszej nawet krzywdy. Jeżeli więc rodzice sieją w gronie swej rodziny śmierć i zniszczenie, czyż nie jest to zakłóceniem niebieskiego porządku i harmonii? Wiedzcie o tem, iż dzieciobójstwo jedyną jest przyczyną tego, że naród nasz nie może cieszyć się nigdy szczęściem i spokojem, gdyż powodzie, posuchy, zaraźliwe choroby, nieszczęśliwe wypadki, wojny domowe, oraz inne klęski ciągle jak grad nań spadają. Każde nieszczęście jest tylko karą za jakąkolwiek winę. Wprawdzie mandarynowie otrzymali rozkaz wykorzenienia tego zwyczaju, ale może nie wszystkie rodziny wiedzą o tym przepisie. Należy więc użyć wszelkich możliwych środków zatamowania na przyszłość barbarzyńskiego zwyczaju zabijania dzieci.«

Następnie cesarz stara się rzewnemi słowy obudzić w sercach swych poddanych wrodzone, lecz uśpione uczucia miłości rodzicielskiej i dodaje: »Wszystkie powyższe przyczyny skłaniają nas do serdecznej prośby, aby lud nasz nie zabijał już więcej swoich dziewcząt w okropny, powyżej opisany sposób. Wszak sukienki wełniane i inne dziewczęce stroje, jakie będziecie musieli nabyć dla swych córek, nie zuboża was z pewnością!«

(Dokończenie nastąpi.)

NIE MOGLI ICH ROZŁĄCZYĆ.

(Ciąg dalszy.)

Posądził najbogatszy gospodarz, a o względy jego wszyscy się starali, był to więc dostateczny powód, ażeby głos ogólny uznał Nella za podpalacza. Nie mówiono mu jeszcze tego otwarcie, lecz w gospodach w miejsce dawnej uprzejmości znalazł zimne i niedowierzające spojrzenie. Cóż to dziwnego! Ludzie ci byli nieoświeceni i biedni; najrozumniejszy i najbogatszy stanął przeciwko sierocie, inni na oślep poszli za nim. Nello nie miał obrońcy.

— Jesteś surowym i niesprawiedliwym dla tego chłopca — odważyła się zrobić uwagę młynarka swojemu mężowi i panu. — Pewna jestem, że Nello niewinny.

Ale Cogez oburzył się tylko, bo gdy raz wyrzekł słowo, nie zmienił go, chociażby nawet inaczej myślał.

Nello przyjął to posądzenie ze szlachetnym spokojem, cechującym prawdziwą niewinność.

— Jeżeli dostanę nagrodę, będą tego żałować — myślał czasami.

Pomimo tej filozofii dla chłopca lubianego ogólnie, odepchnięcie takie było bardzo bolesne, szczególniej w tej porze roku, kiedy sąsiedzi zbierają się u wspólnego ogniska. Nello i Patrasche czuli swoje sieroctwo, lecz znosili je cierpliwie; odepchnięci od wszystkich mieszkańców wioski, siadywali samotni, przy kominku, niestety zimnym i czarnym najczęściej. Garnki stojące na nim od paru dni były nietknięte, bo Nello nie miał komu sprzedawać mleka, nie miał więc za co kupić chleba, ani kaszy. W Antwerpii zjawił się właśnie nowy handlarz rozwożący mleko mułem — ta nowość spodobała się wszystkim. Patrasche zatrzymywał się, jak zwykle przed znajomymi domami, łagodnym wzrokiem spoglądał w okna — lecz drzwi i serca mieszkańców zamknęły się dla sierót spotwarzonych.

Boże Narodzenie nadeszło, zimne, śnieżne i mroźne, lecz chociaż natura była smutna, w każdej chacie, w każdej rodzinie widniało szczęście i uśmiech.

Najbiedniejsi rodzice przygotowywali dla swych dzieci przysmaki i piękniejsze odzienie, bo to dzień radosny, to pamiątka przyjścia Zbawiciela. Dzwony przyzywały do stóp ołtarza, po zamarzniętych drogach ciągnęły tłumy pobożnych, a wszyscy weseli, uśmiechnięci, wystrojeni. Któż miał o biednych pamiętać? czyjaż ręka schyliła się do powalonych nędzą sierót? — wszak widok własnych dostatków przyćmił obrazy ubóstwa! O tak! Patrzcie, lepianka Jana Daas jedyna w całej wiosce stoi smutna, ciemna i zimna...

W wigilią wigilii weszła tam śmierć i zamknęła oczy paralityka. W rzeczywistości umarłym był on już od dawna, niezdolny poruszyć się z miejsca, pomyśleć, przemówić, obojętny na wszystko co go otaczało, nie pojmował nawet nędzy, którą był gnieciony. Tak parę tygodni przeżywszy, oddał ducha Stwórcy mężny żołnierz na polu bitwy, wierny żołnierz na polu powinności chrześcianina. Lecz za jego ubogą trumną nikt nie szedł, prócz i psa i sieroty, a okna domów pozasłaniano, ażeby nie przyjść z pomocą mniemanemu zbrodniarzowi.

— Teraz się pewno wzruszy — myślała młynarka klękając przy oknie, gdy ciało przewożono; lecz Cogez siedział na ławie i palił obojętnie fajkę. Wtedy młynarka, nie mówiąc nic, włożyła wieniec nieśmiertelników w rękę Adelajdy i pozwoliła jej iść na cmentarz, aby złożyła na mogile bez napisu ten dowód pamięci i uznania.

Nello i Patrasche powrócili do chaty. Nie pozwolono im jednak w spokoju przeboleć straty opiekuna. Jan Daas winien był małą sumkę szewcowi mieszkającemu w tej samej wiosce. Był on dosyć zamożny i bez tej nędznej lepianki, lecz mógł za nią dostać choćby beczułkę piwa; dlatego też zagroził Nellowi, że go wyrzuci, jeśli się nie wyniesie dobrowolnie z miejsca, które przestało już być jego własnością. Całą noc pies i chłopiec, tuląc się do siebie, przesiedzieli przy zimnym kominie.

O wschodzie słońca wyszeptał Nello, oblewając psa łzami:

— Chodźmy, nie czekajmy aż nas wypędzą, chodźmy...

Wola pana była wolą psa; wyszli zatem z chaty, w której Nello wyrósł, a Patrasche się postarzał, z chaty drogiej dla nich; lepianka ta była ich własną, a teraz... świat szeroki i piękny, ale nie dla biednych...

Ludzie mają wstręt do smutnych twarzy i łachmanów...

Biedni wygnańcy przeczuwali swą dolę. Nello zapłakał idąc koło budy, w krórej się zrodził jego »Starzec pod złamanem drzewem.« Patrasche zawył, przechodząc obok wózka już nie należącego do niego i spuścił głowę, widząc w śnieg rzucone swoje świecące ubranie. Chciał się położyć i nie wstać już więcej — lecz nie! dokąd pan jego żyje i Patrasche żyć także powinien.

Przechodzili przez wioskę, będącą jeszcze w uśpieniu; w kilku zaledwie domach drzwi były otwarte; Nello zatrzymał się przed jednemi. Właściciele tego domku nieraz wyświadczyli przysługę jego dziadkowi, dzisiaj, znaglony głodem, stanął w ich progu, prosząc o kawałek chleba dla Patrascha. Gospodyni w ten sposób powitana zamknęła spiesznie drzwi, odpowiadając, że teraz zboże jest drogie. Poszli więc dalej, przez zaspy i lody, do Antwerpii. Dziesiąta wybiła na wieży, gdy do miasta wchodzili. »Żebym miał co do sprzedania, kupiłbym mu chleba«, myślał Nello; ale całe jego bogactwa stanowiły stare saboty i podarta siermięga.

Imię artysty przedstawionego do nagrody miało być ogłoszone w południe. W przedsionku zastał już tłumy zebrane; przecisnął się jednak z Patraschem przez gromady rozweselonych mieszkańców. Wiedziano, że obraz otrzymujący nagrodę miał być pomieszczony wyżej ponad wszystkie prace konkursowe. Nello docisnął się do sali; oparty o filar patrzył przed siebie zamglonemi oczyma i ze ściśnionem sercem czekał wyroku. Ha! zobaczył go nareszcie!... zobaczył nie swój rysunek i usłyszał donośny głos wymawiający imię Stefana Kiess-

lingera, urodzonego w Antwerpii, syna obywata miejskiego.

Głos ów, jak cios śmiertelny padł w sieroty serce! — ostatnia gwiazda zagasła! Czyż zgasło i życie w biednym chłopięciu leżącym na posadzce salonu? Nie, Nello powraca do zmysłów... do biedy swej, do swego ziemskiego tułactwa!... Jest już sam w pokoju... zdala dochodzą go radosne okrzyki młodych towarzyšzy. Nello błędnem okiem wodzi wokoło, przypomina sobie upokorzenie, przegraną, zawiedzione marzenia i mówi: »Wszystko skończone, wszystko!«

Potężna siła młodości stawia go znowu na nogi... patrzcie, to dziecię zbiedzone wraca ze swym psem do wioski. Śnieg pada nieustannie, wiatr wieje z północy.

Wtem Patrasche zatrzymuje się, wietrzy, odkopuje śnieg i wyjmuje zębami spory skórzany woreczek. Nello odbiera znaleziony przedmiot, zbliża się do świecącej w pobliżu u stóp krzyża lampki. Machinalnie ogląda woreczek i dostrzega nazwisko młynarza wypisane na nim. W woreczku znajduje pełno złota. Ten widok oprzytomnił go, chowa pieniądze za koszulę i idzie dalej tą samą drogą, a Patrasche obserwuje go niespokojny.

Nello idzie wprost do domu młynarza i stuka, jak niegdyś, w okiennicę. Spłakana młynarka otwiera drzwi pospiesznie.

— A to ty biedny mój chłopcze — mówi z dobrocią. — Wejdź na chwilę, ogrzej się, lecz długo nie mogę cię zatrzymywać. Mąż mój jest dzisiaj bardzo zmartwiony, zgubił pieniądze wracając z miasta, a w śniegu kto je znajdzie.

— Dziękuję pani za gościnność — odpowiedział Nello spokojnie — nie przyszedłem prosić dla siebie. Chciałem tylko oddać pieniądze, które Patrasche znalazł i prosić, żebyście go żywili darmo przez resztę życia.

Powiedziawszy to uścisnął psa, wpuścił go do sieni i a skłoniwszy się młynarce, zamknął drzwi szybko i zniknął w cieniach nocy.

Długo młynarka stała, jak skamieniała przy drzwiach, a gdy wyjrzała na dwór, Nello już był daleko od młyna.

Patrasche rozłączony ze swym panem, z całą gwałtownością rzucał się na zamknięte drzwi, gdy młynarz wszedł drugiemi do tego samego pokoju.

— Szukaliśmy napróżno! — odezwał się do żony, stojąc na progu z załamanemi rękoma. — Nasza mała już nie ma posagu!

W miejsce odpowiedzi młynarka wyjęła z kieszeni woreczek i opowiedziała całe zdarzenie.

Cogez, blady jak ściana, upadł na ławę i zakrył twarz rękoma. Szlachetność sieroty powiększała w dwójnasób krzywdę, jaką mu wyrządził; pełen wstydu przemówił:

— Nie godzien jestem schylić się do nóg jego. Jutro go wezmę, otoczę sercem i dostatkami, ażeby choć w części naprawić swój błąd! (Dokończenie nastąpi.)

OBJAŚNIENIA RYCIN.

Smutny obrzęd. Na rycinie na str. 264, widzimy wieśniaka postępującego obok konia i kierującego nim. Na wozie siedzi jego małżonka. Twarz ma zasmuconą. Nie dziw! Pilnuje bowiem skarbu swego, który w skrzyni na wozie się mieszczącej, się znajduje. Cóż to za skarb! To córka jedynaczka obojga. Chowają ją dziś. Nikt zwłokom nie towarzyszy. Cicho o zmroku smutny obrzęd się odbywa. Wnet zniknie trumna w ziemi, która zmarłą przytuli. Łzy dopiero i ciche rodziców modlitwy zasyłane przed tron Boga za duszę niebożczki świadczyć będą najlepiej, że chociaż nikt na świecie o człowieku nie pamięta, rodzice o nim nie zapomną. Ich miłość towarzyszy dziecku i po za grób.

Mały opiekun zwierząt. Dzieci są bardzo wielkimi przyjaciółmi zwierząt domowych. Najchętniej bawią się dzieci z psem. Starsze zaś mają szczególne upodobanie do królików i gołębi. Nasz chłopczyk na obrazku (na stronie 269) z szczególnem zadowoleniem żywi królika a siostra jego przygląda się temu z upodobaniem.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Szl. — Redaktor odp.: **Adam Napieralski** w Bytomiu.

Ufność dziecięca.

»Ojcze! wszak powrócisz z kopalni«, pytała ośmioletnia Marya ojca swego, górnika, któremu codziennie towarzyszyła do pracy.

»Naturalnie, moje dziecko«, odrzekł uśmiechnięty górnik, całując jedynaczkę swą czule w czoło.

»Czy w kopalni można umrzeć?«

»Pamiętaj, że nie umrę prędzej, dopóki ci o tem nie powiem«. I górnik spuścił się w podziemne przepaści, a mała Marya z trwogą wpatrywała się w ciemny, ponury, tajemniczy otwór, w którym znikł ojciec. Kochała ona ojca całą swą istotą. Nie miała też nikogo na świecie oprócz niego. Matka zmarła, gdy jeszcze była pacholęciem. Dla niego żyła, dla niego czuła.

Nagle rozchodzi się przerażająca wieść, że eksplozya gazów podziemnych wybuchła na kopalni »Bóg z nami«. Ogólny płacz i serce rozdzierające jęki ojców, matek, żon i dzieci.

Zaczęto wydobywać zabitych i rannych. Z przerażeniem i najwyższym niepokojem wpatrywała się Marya w każdego z nich. Ojca jednak nie było pomiędzy nimi. »Zapewnie go teraz wciągną do góry«, powtarzała przez całe czterdzieści i osiem godzin, podczas których nie zmrużyła oka.

Wyciągnięto powoli wszystkich, ojca Maryi jednak nie było pomiędzy nimi. Znikł w niewytłómaczony sposób. Przeszukano każdy kącik, nigdzie nie naposkano śladu po tym górniku. Tymczasem Marya wciąż stała nad otworem, wyrzekając głosem, któryby i skały poruszył:

»Szukajcie mego ojca! Ojcze, gdzieżeś to«.

»Zapewnie w niebie!« odparł inżynier, kierujący pracami ratunkowemi.

»Nie!« odparła mała głosem tak stanowczym, że to inżyniera uderzyło.

»Dla czegoż nie?«

»Bo ojciec mi powiedział, że prędzej nie umrze, dopóki mi o tem nie powie«.

»Biedne ty moje dziecię!« — litował się inżynier, który sam rodzinę i kochające dzieci mając, czuł, co to boleść dziecięcia.

»Sprowadź mnie Pan w głąb, będę ojca szukała«.

»Nie znajdziesz go«.

»Będę szukała tak długo, aż go znajdę, a znaleść go muszę«.

Inżynier pozwolił spuścić ją do kopalni. Na chwilę tylko Marya stanęła wystraszona ponurym widokiem kopalni. Następnie poczęła wszędzie paluszkami swemi szukać. Szukała tak cały dzień, wołając bezustanie:

»Ojcze odezwij się!«

Ponure echo odpowiadało jej na to jedynie. Inżynier musiał ją w końcu gwałtem wydobyć z kopalni. Oddał ją pewnej rodzinie, nakazawszy, ażeby jej samopas nie puszczano. Inżynier powoli zapomniał o zakopanym górniku i dziecięciu jego. Nagle ktoś pochwycił go za połę surduta. To Marya stała za nim i błagała, ażeby jej nie wziął za złe, że mimo zakazu znalazła się w kopalni. Schowała się do jakiegoś wózka, a górnik wciągnął go do kopalni, nie patrząc, czy się w nim co znajduje.

Poczęła ojca na nowo szukać.

»Tu jest ojciec!« — zawołała nagle.

Zdziwienie ogólne i niedowierzanie.

»Gdzie?«

»Tu jest bluza jego. Tu mój ojciec się znajduje«.

Robotnicy spostrzegli w jednej ścianie w otworze coś modrego. Była to rzeczywiście bluza. Ścianę rozebrano i wkrótce ukazało się ciało zaginionego górnika.

Jeden okrzyk »ojcze« i Marya rzuciła się na ojca, okrywając twarz jego martwą pocałunkami. Odsunięto ją powoli i przekonano się, że górnik żył, stracił jedynie przytomność dla braku powietrza i pożywienia. Zaniesiono go do domu i tam zaopiekowano należycie.

Powoli przychodził do siebie i po miesiącu, acz jeszcze nieco słaby, udał się do pracy.

Maryą zaś tem czulej kochał i powiedział jej, że jedynie myśl, iż ona pozostałaby sierotą, utrzymała go wtedy przy życiu.

Dziecko mu zaś odpowiedziało:

»O ojcze kochany! Pan Bóg to sprawił, ponieważ wiedział, iż mi przyrzekłeś nie prędzej umrzeć, dopóki byś mi tego nie był powiedział«.

Wiara i ufność dziecięcia wróciły mu ojca.

O fetyszach i fetyszyzmie.

Na tysiąc lat przed Narodzeniem Chrystusa, ludzie żyli w zupełnie dzikim stanie, podobni w tem do zwierząt;

zaledwie potrafili się oni porozumiewać między sobą w sposób do naszej mowy zbliżony. Ale, że człowiek musi czcić coś wyższego, potężniejszego od niego, więc już wówczas oddawali ludzie cześć rozmaitym przedmiotom, lub bóstwom. Religię taką nazywamy poganizmem, ale nie był on wszędzie jednakowy, owszem miał kilka rodzajów.

Więc przedewszystkiem dziki człowiek czcił to, czego nie mógł zrozumieć. Widząc nad sobą niebo zasiane gwiazdami i słońce wschodzące i zachodzące o jednej godzinie, patrząc na chmury, z których powstał deszcz, słysząc grzmoty i pioruny, myślał on, że wszystko to są istoty, czynne przez się i czcił słońce, gwiazdy, chmury — wogóle wszystkie zjawiska przyrody. Patrząc na śmierć swoich najbliższych osób, nie mógł się pogodzić z myślą, że one zniknęły i oddawał cześć ich duchom, albo lasom, w których grzebał swoich zmarłych. Powoli zaczynał on myśleć, że każde zjawisko, na które patrzy, jest skutkiem działania jakiejś nadprzyrodzonej istoty i wtedy potworzył rozmaite bóstwa: bóstwa które sprowadzają deszcz, bóstwa, które dają o sobie znać piorunami i błyskawicami, bóstwa lasów, które sprawiają, że drzewo i trawa rośnie, że powstają kwiaty i owoce i wiele innych. Ale nie dosyć na tem. Skoro wyobrazili sobie ludzie, że istnieje taka ilość bóstw, wnet zaczęli wyobrażać sobie, jak te bóstwa wyglądają. I nadawali im postać podobną do zjawiska, jakiego każde bóstwo miało być przyczyną. Więc wyobrażali sobie boga piorunów w postaci złego, nasrożonego człowieka, boga słońca i gwiazd, jako pięknego młodzieńca, boga lasów i pól jako dobroczynnego starca itp. I wnet poczęli nieudolnie strugać postacie tych bożków z drzewa, lub wykuwać z kamienia. W ten sposób powstały bałwany, a oddawanie im czci nazywa się bałwochwalstwem.

Ale powoli zapominali ludzie o tem, że każdy z bożków to jest upostaciowana jakaś siła przyrody i oto poczęli oni czcić ten kawałek drzewa lub kamienia, z którego bożek był zrobiony. Taki rodzaj bałwochwalstwa nazywamy fetyszyzmem, a rozmaite kawałki drewien, kamieni, pazury zwierząt, pasma włosów, którym dzicy ludzie oddają cześć boską, nazywamy fetyszami. A więc ogólnie fetyszyzmem nazywamy taką religię, która wyznawcom swoim każe czcić rozmaite przedmioty.

Fetyszyzm był niegdyś religią panującą na całym świecie. Później w miarę rozwoju umysłu ludzkiego, po narodzeniu Chrystusa, całą część świata, w której mieszkamy, zdobyła sobie wiara w jednego Boga, jedynego Twórcę i przyczynę wszechrzeczy. Dziś jest już fetyszyzm tylko religią szczepów dzikich, przeważnie Murzynów i Malajczyków, zamieszkujących zagłębia Afryki, oraz wyspy w okolicach Australii.

Wyznawcy fetyszyzmu mają różnorakich fetyszów, którym cześć oddają. Są fetysze całego plemienia, których czcią zajmują się kapłani, będący częstokroć wodzami plemienia. Są dalej fetysze rodzin, którym ofiary przynosi głowa rodziny. Wreszcie każdy dziki człowiek ma swego fetysza, którego nosi przy sobie, modli się do niego i ucieka o pomoc w każdej przygodzie. Ale biada fetyszowi, który nie spełni życzenia swego czciciela; niszczy go on ze złością, i wnet obiera sobie nowego fetysza, który mu służy póty, póki go zadawalnia. Dzicy oddają fetyszom rozmaite ofiary, najczęściej w postaci jadła, lub napojów. Do czci fetyszów plemiennych przywiązane są obrządki, objawiające się głównie w tańcu i śpiewach.

W krajach, gdzie czynne są misye chrześciańskie, cześć oddawana fetyszom powoli zanika. Trwa ona tam, gdzie nie postała jeszcze noga europejczyka. Są też i dzikie plemiona tak mało jeszcze rozwinięte, że nie są w stanie zrozumieć wiary w jednego Boga. W każdym razie jest to religia skazana na zagładę, bo się nie może ostać wobec cywilizacyi.

Co robić na oparzeliznę.

Nie ma chyba człowieka, którby nie oparzył się. Setki leków na oparzeliznę próbowano, a żaden z nich nie uśmierzał bólu natychmiast i całkowicie, żaden nie mógł odrazu przerwać zapalenia. Dopiero w ostatnich latach w Paryżu wynaleźli lekarstwo bardzo skuteczne na wszelkie oparzenia byle niezbyt przedawnione. Widziałem w paryzkich szpitalach kilkuset ludzi niem uleczonych, sam niejednego uleczyłem, a i na sobie doświadczyłem, — chciałbym więc z wami, czytelnicy, podzielić się tym świeżym dobytkiem wiedzy.

Słyszeliście może, że w farbiarniach często używają kwasu pikrynowego, ażeby nadać jedwabiowi lub wełnie czysty żółty kolor, tak samo, jak w cu-

kierniach dla farbowania cukierków na żółto, a w nierzetelnych browarach dla zastąpienia nim chmielu, bo posiada również silny gorzki smak.

Otóż najlepszem lekarstwem na oparzenie jest ten sam kwas pikrynowy, tylko nie czysty — nie w proszku, — lecz rozpuszczony w wodzie. Dobrze nawet stało się, że nie trzeba używać czystego kwasu pikrynowego, albowiem w proszku silnie ogrzany wybucha i mógłby sprowadzić czasami wypadek.

Ażeby mieć należyty roztwór kwasu pikrynowego, trzeba mieć go nasyconym, to jest tyle wrzucić czystego — w proszku — do ciepłej przygotowanej wody, ile tylko może rozpuścić się, a następnie ostudzić ją i zlać. Zazwyczaj wystarczy łut proszku na kwartę ciepłej wody.

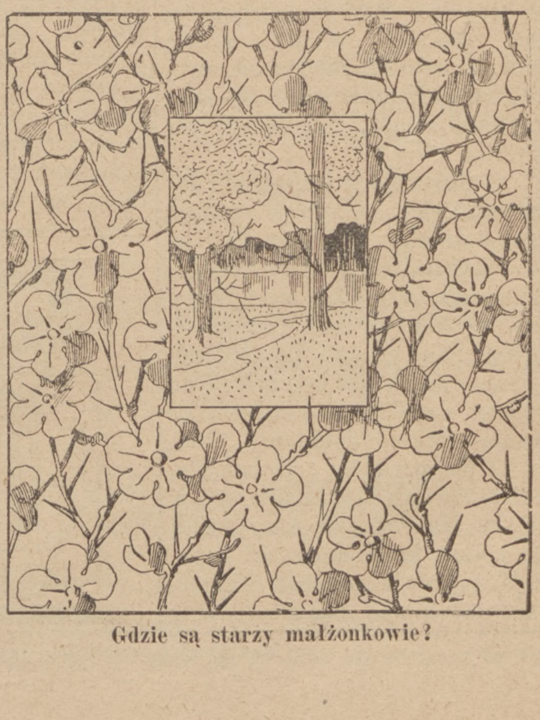
W razie oparzenia jakiej kończyny: palca, ręki, nogi — należy natychmiast zanurzyć ją do takiego kwasu pikrynowego, rozpuszczonego w wodzie, jakby do zwyczajnej wody i trzymać przez pięć do dziesięciu minut. Po wyjęciu zaś z takiej kąpieli owinąć ją wprost czystą watą apteczną, jeżeli naskórek nie został uszkodzony przez oparzenie. Skoro naskórek zeszedł, lepiej jest najpierw położyć czysty muślin, kupiony w aptece a na muślin dopiero watę, która tym sposobem nie przylgnie mocno do ciała. W razie zaś oparzenia głowy, szyi, tułowia — części, której zanurzyć w wodzie nie można, — trzeba odrazu przyłożyć kawałki czystego muślinu kupionego w aptece, albo zrobionego w domu ze zwyczajnego, białego, czystego muślinu tarlatanu, wygotowanego przez piętnaście minut w gorącej wodzie i wysuszonego. W tym jednak razie trzeba przyłożyć na sparzeliznę muślin złożony w kilkoro i zmoczony w roztworze kwasu pikrynowego, a następnie wyżęty, i przykryć go jak zawsze watą apteczną, później zaś jeszcze chóstką, albo bandażem. Taki opatrunek — jak w pierwszym tak i drugim wypadku — należy zmieniać rzadko, co trzy albo i cztery dni, zdejmować watę i muślin wolno, nie moczyć oparzelizny wodą, chyba że posmarowano ją przedtem jakim tłuszczem. Nie należy nigdy zapominać, że opatrunek ten powinien być suchy, konieczną zatem jest wata apteczna, która wsysa niepotrzebną wodę, jak również koniecznem wyżąć muślin z nadmiaru roztworu kwasu i zmieniać opatrunek rzadko, tylko w razie dużego owrzodzenia i ropienia co 2-gi dzień.

Po włożeniu oparzonej kończyny do roztworu kwasu pikrynowego, albo po opatrzeniu oparzelizny, tak jak Wam opisałem, ból niemal natychmiast ustaje, a oparzelizna zasycha i goi się bez porównania prędzej, niż przy innem leczeniu. Skoro jest oparzenie bardzo powierzchowne, gdzie naskórek nie zeszedł, — dość jest zrobić jeden opatrunek, a czasem wystarcza tylko zanurzyć naprzykład palec sparzony w roztworze kwasu pikrynowego.

Jedna jest tylko niewygoda z tym kwasem, że farbuje skórę na kilka dni na żółto, ale skoro natychmiast ręce nim zafarbowane (nie oparzone) wymyjecie wodą z mydłem, albo jeszcze lepiej wodą borną, to i nie będzie śladu żółtej farby; co do żółtości oparzelizny, zejdzie sama z czasem.

W Paryżu i w całej Francyi coraz częściej leczą oparzenia tym nowym sposobem. Dużo jest nawet fabryk i warsztatów, gdzie zawsze stoją na pogotowiu konewki albo i beczki napełnione kwasem pikrynowym, rozpuszczonym w wodzie. W razie oparzenia, robotnik natychmiast zanurza oparzoną kończynę i może być pewien, że jeśli oparzenie nie bardzo głębokie, wnet będzie wyleczony.

Radzę Wam, czytelnicy, jak najprędzej kupić w aptece, czy też w składzie aptecznym kwartę, a może i więcej — bo to środek bardzo tani — wody nasyconej kwasem pikrynowym, z ćwierć funta waty aptecznej i trochę czystego muślinu do opatrunku ran, a będziecie mogli skutecznie leczyć oparzenia, nawet bez lekarza i zawsze wielką ulgę przynosić poparzonym.



Gdzie są starzy małżonkowie?

Praktyczne rady.

— **Zastosowanie nafty do prania.** Nowy sposób prania bielizny, za pomocą nafty domieszanej do wody, okazał się praktycznym; bielizna prana w ten sposób wygląda jak nowa, a przytem oszczędza się czasu i pracy. Brudną, suchą bieliznę wrzuca się do kotła i zalewa zimną wodą; na 20 kwart wody dodaje się 250 gramów pokrajanego cienko mydła i dwie lub trzy łyżki stołowe nafty. Sody nie trzeba dodawać. Bieliznę w kotle gotuje się na dobrym ogniu pół godziny, następnie wyjmuje się stamtąd zupełnie czystą. Pozostaje tylko wypłukać ją w ciepłej lub zimnej wodzie i ufarbkować. Sztuki brudniejsze poprzedniego dnia na noc zalewa się ciepłą wodą i rozbitem mydłem i naftą, nazajutrz lekko się je przepiera i gotuje.

Rozmaitości.

* **Ciekawe są** bardzo badania tyczące przezroczystości morza. Przekonano się, że w Adryatyku światło dochodzi na 54 metry w głąb wody. Co do oceanów, brak jeszcze jest danych w tym względzie, w każdym razie zachodzić w tem muszą znaczne różnice, zależne od mniej lub więcej spokojnego stanu i czystości wody, pogody i siły światła.

* **Obyczaje w królestwie dahomejskiem:** Obyczaje panują nader dziwne: gwardya królewska złożona jest z dwóch tysięcy amazonek, a wielkie uroczystości czy to dla uczczenia zmarłych monarchów, czy też dla zabawienia europejczyków przybyłych do stolicy, zasadzają się na mordowaniu setek niewolników. Ofiary te nie pochodzą z Dahomeyu, który wkrótce wyludniłby się wskutek tego okrutnego zwyczaju; na rozkaz króla amazonki napadają sąsiednie państwa i zabierają w niewolę mieszkańców, z których potem urządza się hekatomba. Pan Bayol, wysłaniec rządu francuzkiego, zmuszony patrzeć na te wstrętne rzezie, w ten sposób opowiada swoje wrażenia: »Król Glegle wyprawiał wielkie uroczystości na cześć nieboszczyka króla Guezo; trwały one cały miesiąc, a codzień zabijano znaczną ilość mężczyzn i kobiet, którzy na tamtym świecie mieli powiększyć orszak zmarłego monarchy. Były dnie, kiedy liczba ofiar mordowanych wobec zebranego tłumu dochodziła do pięciuset! Głowy ich wynoszono koszami, a krew spływała w dwie wielkie cysterny, głębokie na 8 metrów a na 6 szerokie, umyślnie w tym celu urządzone przed pałacem królewskim. Niektórzy niewolnicy dostępują tego zaszczytu, że są własnoręcznie ścinani przez monarchę i jego ministrów; kilkudziesięciu zakopano żywcem w grobie królewskim. Po skończonych rzeziach Glegle wraz z wojskiem urządza wyprawy wojenne na sąsiednie plemiona, ażeby zaopatrzyć się w ofiary, które z kolei wymordowane będą na przyszłych uroczystościach«. Zgroza przejmuje duszę, kiedy się słyszy o takich okrucieństwach. Francyi do poskromienia barbarzyńcy powinien pomódz cały świat chrześciański.

* **Największem państwem** w świecie są Chiny, liczące 404 miliony mieszkańców; drugie miejsce zajmuje W. Brytania z ludnością 285 milionów; trzecie cesarstwo rosyjskie, mające 100 milionów mieszkańców. Najrozleglejszem z nich jest W. Brytania, zawierająca 23 mil. kilometry powierzchni; drugą co do rozległości jest Rosya, której powierzchnia wynosi około 22 mil. kilometrów, trzecie miejsce zajmują Chiny, liczące 11 mil. kil. powierzchni.

ŻARTY.

Myśl zbrodniarza.

Zbrodniarz zostaje przez sąd uwolniony wskutek gorącej obrony adwokata. Odchodzi zadowolony mówiąc do siebie:

— Nawet gałgaństwo ma swoje dobre strony. Czyby mnie ktokolwiek tak pochwalił, gdybym był porządnym człowiekiem?

Kto chory?

— Jak się masz? Licho wyglądasz, co ci dolega?

Przyjaciel: — Eh, nic wielkiego.

— Zobaczymy. Pokaż język.

— Daj spokój; — obejrzyj raczej język mojej żony.

— Czy także chora?

— Kto ją tam wie, ale jej język jest przyczyną moich dolegliwości.

Wyjątkowy człowiek.

W stanie Indiana chowano człowieka. Jakiś włóczęga zawisł na murze cmentarza i pytał:

— Był umarły wielkim człowiekiem?

— Nie.

— Mówcą?

— Nie.

— Słynnym wynalazcą?

— Nie, był on jedynie uczciwym człowiekiem.

— Dla czegoż go więc nie wystawicie w Chicago jako osobliwość?

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu.